

Kronika

tygodniowa

Rozpoczęliśmy zatem szczęśliwie miesiąc maj, nazywany przez jednych miesiącem miłości, poezji i śpiewu słowików, przez drugich zaś miesiącem młodej rzodkiewki, szparagów i t. d. Wypadałoby zatem, czy z jednego, czy z drugiego powodu nastroje również „majowe” kronikarską intale, czy fajara (co kto woli...), wybaczą przecież Czytelnicy, choć się to nie stanie, zważywszy, że majowa pierwsza kronika, jak Wenne wyłaniająca się z piany morskiej, wyłazi z kałamarnicy jeszcze w kwietniu, zatem w czasie, gdy o „majowych” nastrojach nie ma mowy, ponadto zaś z powodu końca miesiąca ma każdy nos spuszczonego na kwintę, co jest chyba dość jasnym dowodem, że ma się zbierać raczej na płacz, niż radość.

Z majem łączy się wiele nadziei, które, być może, zrealizują się w samej rzeczy... w maju. W pierwszym więc rzędzie ma zostać ostatecznie rozstrzygnięta sprawa Górnego Śląska (o ile naturalnie nie stanie się na przeszkodzie...), załatwi się spór o Wilno, Niemcy się upokorzą i wypełnią postanowienia traktatu wersalskiego, bołazewicy przestaną się zbroić przeciw Polsce, owdowiasty cesarz Wilhelm oświadczy się o rękę wdowy po Mikołaju Czarnogórskim i zostanie przyjęty, co wszystko razem i każde z osobna przyczyni się do takiego poprawienia się sytuacji ogólnej, a w ślad za nią i pokój wewnętrzny, iż poprostu zapomnimy o tem, że była wojna, a jej następstwa odbiły się tak fatalnie na naszej skórze. Są to jednak tylko nadzieje, a te jak wiadomo, bardzo często zawodzą, podobnie jak majowa pogoda.

Amator śpiewu słowików radby go słuchać całymi nocami, a tu tymczasem zimno, które rok rocznie przynosi z sobą starzy kawalerowie, święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy (podobno osadzeni „na lodzie” konkurencji do ręki trzech córek św. Zofii, bezpośrednio po nich obchodzącej swe imieniny...).

Ostrożność zatem każe się z „majowym nastrojem” wstrzymać jeszcze jakiś czas, dopóki nie ustalą się na dobre pogoda i temperatura, nie rozśpiewają się słowiki, nie pojawią się w większej ilości rzodkiewka, co wpłynęłoby na zniesienie jej ceny i uprzyściplenie dla szerszego ogółu jej nabywanie.

Poza tem zupełnie nie „majowo” wpływa na kronikarza klin, który sobie samouchęca wbił do głowy, a tym są zbliżające się wybory do Sejmu i ewentualne kandydowanie z łona „golej demokracji”, która na seryo zabiera się do kampanii wyborczej, a na jednym z najbardziej zagrożonych posterunków byłaby rada widzieć tak wytrawnego i realnego polityka jak kronikarz. Także i Weronika popiera tę myśl, wobec czego kronikarską mózgowicę zaprzęta hannibalowska łacie kwestya... Kandydować nie kandydować?...

Na czem się skończy, to dopiero przyszłość pokaze, w każdym razie kronikarz zaczął już układanie mowy kandydackiej, kłania się na ulicy wyborcom, choć ich nie zna, a Weronika na rzecz jego rozwinęła już agitację między przyjaciółkami, zastanawiając się poważnie i nad tem, czy ona sama nie powinna też zgłosić swej kandydatury.

Bogiem a prawdą, życie polityczne na szerzą skalę nie uśmiecha się bynajmniej kronikarzowi, który jest człowiekiem młującym przedewszystkiem, o którym możnaby śmiało powiedzieć, jak o owym starożytnym filozofie, że „nawet w żarcie nie skłamał”... (czasami może, ale na seryo, i to jedynie „przez pomyłkę”...).

A polityka, to właśnie dziedziśnia życia, nie mająca nic wspólnego z prawdą, posługująca się zaś atale i z zasady obłudą i fałszem. Z tego też powodu każdego członka, który co innego czyni, co innego zaś myśli, nazywamy i w życiu prywatnym dobrym politykiem. Jedni tę nazwę uważają za zaszczyt, drudzy zaś identyfikują ją z wyrażeniem „blagier” lub „oszust”, ci drudzy mają, zdaje się, więcej racji, gdyż cała polityka, w najszerszym tego słowa znaczeniu nie jest niezem iłnem, jak tylko stekiem kłamstw i oszustw, celem osiągnięcia jakiegoś z góry upatrzonego rezultatu, najczęściej z pojęciem etyki stojącego w jaskrawej sprzeczności.

I to właśnie zniechęca kronikarza do wzięcia żywego udziału w życiu politycznym, do którego poświęcanie mogłoby być pierwszym szczeblem.

Na te refleksje na temat polityki, naprowadza zwłaszcza bieżący tydzień. Przypada nam setna rocznica śmierci Napoleona, którą Francja będzie obchodzić bardzo uroczysto, a wraz z nią i jej przyjaciele prawdziwi i przygodni. Nawet kronikarz „Nowości Ilustrowanych” został zaproszony przez prezydenta Mil-

leranda do wzięcia w niej osobistego udziału, niestety, nie mógł skorzystać ze zaproszenia, gdyż Weronika uparła się, że i ona musi jechać, a taka podróż w dwójce byłaby połączonej z nadmiernymi kosztami, których nie wytrzymałaby dziurawa kleska kronikarska. Pani Paderewska, która awemu mężowi towarzyszyła we wszystkich podróżach politycznych, wpłynęła na nasze kobiety zachęcająco. Każdej z nich zdaje się teraz, że żadne ważniejsze przedsięwzięcie bez niej się nie obejdzie. Zabierają się nawet do polityki, w której są wprawdzie mistrzyniami, ale tylko o tyle, o ile się rozchodzi o życie prywatne. Natomiast szersza polityka to dla nich *terra incognita*, choć i w tej materii zabierały bardzo chętnie głos, byle tylko móż się porządnie wygadać.

Kronikarz bardzo żałuje, że nie może być w tym czasie w Paryżu, byłby bowiem bardzo rad, mogąc na swe własne oczy widzieć, z jaką miną będą obchodzić rocznicę napoleońską Anglii, których przecież jako najbliższych (ale nie sercem!) przyjaciół Francji, na uroczystości braknąć nie może, a przynajmniej nie powinno. W każdym razie będzie im więcej „do twarzy” ze łzami żałości, bo to przecież obchód żałobny, niż z uśmiechem radości, na który musieli się siłić i wywoływać go sztucznie przed kilkoma miesiącami, gdy wspólnie z przyjaciółmi awymi obecnymi dzielili radość z powodu kanonizacji Dławiły Olszankiej.

Ale trudno!... Polityka tego wymaga, a to bardzo można pani i trudniej się jej nieraz oprzeć, niż nawet Weronice.

Nie należy zapominać, że w obu wypadkach Anglii odegrali bardzo ważną rolę, choć w owych czasach występowali wobec Francji w zupełnie innym charakterze, niż obecnie. Gdyby nie oni, Joanna D'Arc nie byłaby dla Świętej i Patronki Francji, im jedynie ma do zawdzięczenia, że osiągnęła palmę męczeńską. Także Anglii przyczynili się do tego, że setna rocznica Napoleona przypaść mogła w roku 1921, więc w czasie, gdy stała się bardzo pożądaną do zamianofestowania „przyjaźni” angielsko-francuskiej, gdyby bowiem nie ich pomocna ręka, kto wie, czy Napoleon nie byłby żył jeszcze lat kilka lub kilkanaście. Ale ich „rycerskie” obchodzenie się z pokonanym wrogiem zastruło mn i tak już dość gorzkie chwile wygnania i przyspieszyło koniec. Zawiódł się Napoleon, licząc na angielską „rycerskość” — przykład jego był wskazówką dla Wilhelma, jak należy postępować, gdy bogini Fortuna obróciła się doń w r. 1918... plecami.

Dziś łączy Anglię z Francją wspólny interes (na którym przecież może, zdaniem Anglików, wyjść lepiej Anglii...), polityka każe więc działać z sojuszniczką jej radości i smutku. Ten ich wzajemny obecny stosunek, tak różny od tego, jaki trwał przez całe wieki i sporo krwi kosztował, przypomina bardzo spotkanie się podczas poobiedniej kawy dwu przyjaciółek, które nie szczędzą sobie dowodów przyjaźni, prawią sobie wzajemnie komplementy, obcałowują się serdecznie, ale w kwadrans potem, znalazły się każda osobno, nie zostawiają na sobie suchej nitki. I dlatego to użyliśmy wyżej wyrażenia, że kobiety są mistrzyniami w politykomanii, wprawdzie tylko na malejszą skalę, ale polegającego także na tem, aby co innego myśleć, a zupełnie co innego mówić.

Za najzdolniejszego polityka uważamy zatem takiego, który nigdy nie da poznać po sobie, co tam w nim tkwi w głębi, a jeśli się odezwie, a urząd jego jest połączony z szewskim gadaniem, to podobnie jak wyrocznia delficka, której orzeczenie mógł każdy rozumieć jak mu było wygodniej, w gruncie rzeczy zaś nie miał o tem pojęcia, co ona miała na myśli. Wzorem takiego polityka może być poseł Daszyński, a arcydziełem jego dyplomacji jest jego wyrażenie się w swoim czasie w anstrackim parlamencie „o owym bluszczu, który oplata tron habsburski”. Nieprzyjaciele jego polityczni wytykają mu to powiedzenie, dziwią się, skąd się socjalista mógł zdobyć na tyle ces. król. lojalności, ale widocznie nie zdają sobie z tego sprawy, że to było powiedzenie *amb figura*, a co za tem idzie, że myślał co innego, a zupełnie co innego mówił i że nie jego w tem wino, jeśli go ktoś źle rozumiał, barwa bowiem czerwona nie zmienia się tak łatwo w czarno-żółtą. Kto się uczył botaniki, ten wie o tem, że bluszcz pnie się najchętniej na murach wilgotnych, a nie trzeba być na to zawodowym budowniczym, aby być o tem przekonany, że wilgoć, zwłaszcza od podstaw idąca, grozi ruiną najbardziej monumentalnej budowli. Jeśli zatem ów bluszcz ma opleść podstawy habsburskiego tronu, dowód to aż nadto jasny, że panuje tam wilgoć i że nie trzeba długo czekać, jak się rozleci.

I dziś dopiero widzimy, jak daleko przewidującym był towarzysz Ignacy i to już wtedy, gdy się jeszcze o tem nikomu nawet nie śniło. To jedno powiedzenie wystarczyłoby, aby zdobył sobie ostrogi rycerskie na arenie życia politycznego. Wówczas zdał on egzamin z polityki z postępowym celującym, ci zaś, którzy mu

jeszcze dziś z tego powodu czynią zarzuty, udowadniają, że o szatne politykowania i dyplomacji nie mają zielonego pojęcia.

I tego rodzaju powiedzenie, to właśnie majstersztyk polityczny. Trzeba być urodzonym politykiem i dyplomata, aby potrafił się w ten sposób wyrazić. Pod listkiem figowym (w danym wypadku zastąpił go bluszcz) kryje się zupełnie co innego, i, aby to należyście zrozumieć, trzeba być także wytrawnym politykiem i nieleda dyplomata.

Polityka zatem to tylko mydlenie oczu innym, aby na tem zrobić jak najlepszy interes. Każde państwo prowadzi taką politykę, a im lepiej wyazkolonych posiada dyplomatów, tem korzystniej na tem wychodzi. Zapowiadano wprawdzie, że po obecnej wojnie polityka wejdzie na drogę uczciwą, a intrygi dyplomatyczne wezmą w łeb raz na zawsze, a jak okazują obecne stosunki nie się nie zmieniło. Piękny przykład praktycznego polityka daje nam Lloyd George, który, choć nie fryzyer z zawodu, myśli na prawo i na lewo, strzyże i goli, ale zawsze tylko tak, aby Anglia wyszła na tem dobrze, a jej sojusznicy niech sobie robią co im się podoba. Najciekawiej przedstawia się jego stosunek do Rosji bolszewickiej, której rząd oficjalnie nie uznaje, gdyż tak kate przyzwolność, ale równocześnie prowadzi z nią rokowania, podyktowane interesem.

Taka polityka nazywa się światową i jest prowadzoną na szerszą skalę, nie różni się od niej przecież i wewnętrzna krajowa, mająca rozmiary nieco skromniejsze, ale również interes na pierwszym planie. Mieliśmy tego przykład za czasów anstrackich, nie inaczej dzieje się też i w odrodzonej Polsce. Politykę prowadzi każde stronnictwo na swoją rękę, mając na oku interesy partyjne, nie zawsze biegające po tej samej kuli, co interesy ogółu, prowadzi ją też i każdy z posłów, nie zapominając o tem, że zdrowy rozum każe się starać przedewszystkiem o to, aby mnie było dobrze, potem dopiero przychodzi kolej na stronnictwo, wreszcie i na ogół o ile naturalnie urządowanie państwa trwa tak długo, iż mu na to starczy czasu.

Przed wyborami każdy z kandydatów obiecywał się kierować zupełnie innym porządkiem. Złaził się na wszystkie świętości, że cały zapas sił i dobrej woli poświęcił ogółowi, potem dopiero pomyślił o interesie stronnictwa, dla siebie nie nie żądając, prócz... mandatu poselskiego.

Obywatele wyborcy, nie będący politykami, i nie zaglądający pod listek figowy, lub bluszcz, co się tam kryje, uwierzyli zapewnieniom i obdarzyli kandydata zaufaniem. Pojechał tedy pan poseł do Wiednia i od pierwszej chwili pobytu nad Danajem myślał tylko o tem, aby go kto nie uprzedził w zdobyciu jakiej synekury, koncesji lub czegoś podobnego. Myślał przy tem tylko o sobie samym, na ustach miał zawsze bardzo piękne słowa o pomocy dla kraju. — I wychodził na tem zazwyczaj dobrze. Wyjeżdżał z kraju goły, niczem turecki święty, wracał zasobny, lub zostawał we Wiedniu, twierdząc, że mu tamtejsze powietrze lepiej służy, a wyborcy o ile zechcą go i nadal obdarzyć swem zaufaniem, znajdują go i tam.

Gdy się przypadkiem znalazł ktoś, kto mu zarucił sobkostwo, przysięgał się, że dla siebie nie nie robi, a chyba winy nie ponosi, jeśli rząd ma do niego zarzuty i daje tego dowody. Zresztą kraj i na tem korzysta, jeśli nie materialnie, to, bodaj moralnie.

Druga kategoria naszych posłów nie myślała wprawdzie o interesach ani własnych, ani nawet partyjnych, mając zamiar oddać się jedynie pracy na rzecz ogółu, lecz zbyt powodowała się obawą, aby przypadkiem nie narazić się ces. król. rządowi, na czem oczywiście kraj wyszedłby najgorzej. Piękne ich zamiary nie wyszły zatem nigdy ze sfery ideałów, nie mierzonych do osiągnięcia i pozostały zamiarami. — Bardzo chętnie pokazywali się w przedpokojach panów ministrów, aby się ująć za krzywdzonym stale przez rząd centralny krajem, na widok jego ekscelencji zapominali przecież, z czem przyszli i godzili się na to, co łaskawie kapnęło z wiedeńskiego stołu, byle tylko nie przyczylić kłopotów „Wysokiemu Rządowi”. A jeżeli nieszczęście do tego chciało, że „najjaśniejszy pan” raczył któregoś najulośliwiej poklepać po plecach, radość nie miała granic. Pan poseł czuł się za życia wniebowzięty i uważał, że obowiązki swoje spełnił należycie, splendor bowiem, jaki spłynął na niego, musiał się udzielić i krajowi. Mieli oni przynajmniej „czytane ręce” i to jedyna ich zasługa. Po powrocie do kraju tłumaczyli się, że chcieli jak najlepiej, jeśli jednak nie mogli, to nie ich wino.

Nie brakło oczywiście i ludzi, którzy całkiem sercem chcieli służyć krajowi, coś jednak poradził jednostka, mając przecież sobie cały ogół. Własne stronnictwo podcinał im skrzydła, bojąc się, by nie zaszkodził jego interesom. — Na takiego polityka kronikarz w sobie sił nie czuje.